

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT
ZADZIWIAJĄCY
MAURYCY
I JEGO
EDUKOWANE
GRYZONIE

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

ZADZIWIAJĄCY

MAURYCY

I JEGO

EDUKOWANE

GRYZONIE

Przełożył
Piotr W. Cholewa

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE AMAZING MAURICE AND HIS EDUCATED RODENTS

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 2001
This edition is published by arrangement with Transworld Publishers,
a division of The Random House Group Ltd.
All rights reserved

Ilustracja na okładce
Paul Kidby

Ilustracje w książce
David Wyatt

Redakcja
Agnieszka Roslan

Korekta
Grażyna Nawrocka

Łamanie
Jolanta Kotas

ISBN
978-83-7648-625-3

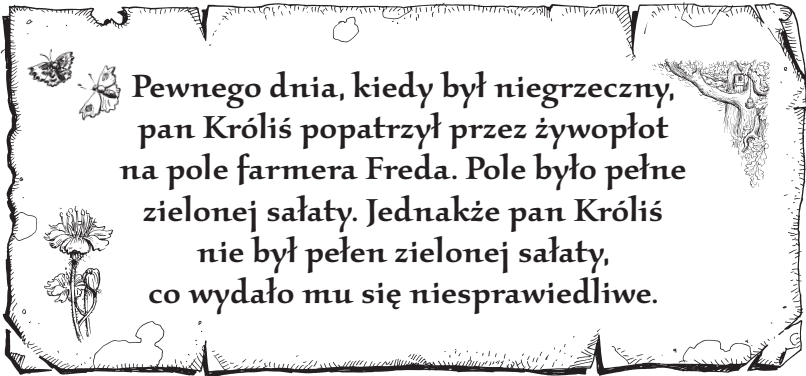
Warszawa 2011

Wydawca:
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

*D'niece, za odpowiednią książkę
w odpowiedniej chwili*

Rozdział 1



Pewnego dnia, kiedy był niegrzeczny,
pan Króliś popatrzył przez żywopłot
na pole farmera Freda. Pole było pełne
zielonej sałaty. Jednakże pan Króliś
nie był pełen zielonej sałaty,
co wydało mu się niesprawiedliwe.

„Przygoda pana Królisia”

Szczury!

Goniły psy i gryzły koty!

Ale chodziło też o coś więcej.

Jak stwierdził Zadziwiający Maurycy, jest to po prostu opowieść o ludziach i szczurach. A najtrudniejsze wydawało się określenie, kim są ludzie i kim są szczury.

Za to Malicia Grim uważała, że to opowieść o opowieściach.

Zaczęła się – a przynajmniej jej część się zaczęła – w dylizansie pocztowym, który przejechał przez góry w drodze z dalekich miast na równinach.

To była ta część podróży, której woźnica najbardziej nie lubił. Droga wiła się przez lasy i po dziurawych drogach omijała szczyty. Między drzewami zalegały głębokie cienie. Czasami miał wrażenie, że coś podąża za dylizansem, trzymając się tuż poza zasięgiem wzroku. Ciarki go od tego przechodziły.



Ale w tym kursie solidnych dreszczy dostawał raczej od tego, że słyszał głosy. Był tego pewien. Dochodziły zza jego pleców, z dachu powozu, gdzie leżały tylko wielkie ceratowe worki z pocztą i bagaż młodego człowieka. Z pewnością nie było tam nic tak dużego, by mogło ukryć człowieka. Ale od czasu do czasu bez żadnych wątpliwości słyszał stamtąd szepczące piskliwe głosiki.

Na tym odcinku miał tylko jednego pasażera – młodego jasnowłosego człowieka, który siedział samotnie w podskakującym dylizansie i czytał książkę. Czytał powoli i głośno, przesuwając palec wzdłuż linijek.

– Ubbberwald... – odczytał z wysiłkiem.

– Raczej „Überwald” – odezwał się cienki, piskliwy, ale bardzo wyraźny głos. – Z tymi kropkami wymawiasz jak coś w rodzaju długiego „i”. Ale dobrze ci idzie.

– Iiiberwald?

– Istnieje coś takiego, mały, jak przesadny akcent – oświadczył inny głos, który brzmiał tak, jakby mówiący przysypiał. – Ale wiesz, co w Überwaldzie jest najlepsze? Leży daleko, bardzo daleko od Sto Lat. Leży daleko od Pseudopolis. Daleko od każdego miejsca, gdzie komendant straży obiecał, że ugotuje nas żywcem, jeśli znowu nas zobaczy. No i nie jest to kraj specjalnie nowoczesny. Marne trakty. Góry po drodze. Ludzie tutaj mało podróżują. A więc i wieści nie rozchodzą się szybko, rozumiesz? I nie mają tu policjantów. Mały, zrobimy tutaj majątek!

– Maurycy... – odezwał się niepewnie chłopak.

– Tak, mały?

– Nie sądzisz, że to, co robimy, jest jakoś... no wiesz... nieuczciwe? Nastąpiła chwila milczenia, nim głos odpowiedział:

– O co ci chodzi? Jak to: nieuczciwe?

– No wiesz... Bierzymy ich pieniądze, Maurycy.

Dylizans zatrząsł się i podskoczył na jakiejś dziurze.

– No owszem – przyznał niewidzialny Maurycy. – Ale musisz zadać sobie pytanie: od kogo tak naprawdę bierzemy pieniądze?

– No... zwykle od burmistrza, rady miejskiej i takich różnych...

– Właśnie. A zatem są to...? Już ci to raz tłumaczyłem.

– No...

– To pieniądze rzą-do-we – tłumaczył cierpliwie Maurycy. – Powtórz: pieniądze rzą-do-we.



- Pieniądze rzą-do-we – powtórzył posłusznie chłopak.
- Właśnie. A co rząd robi z pieniędzmi?
- Oni, no...
- Płacą żołnierzom – oświadczył Maurycy. – Prowadzą wojny. I pewnie powstrzymaliśmy kilka wojen, zabierając te pieniądze i chowając je tam, gdzie nikomu nie zaszkodzą. Jakby się trochę zastanowili, to pewnie wystawiliby nasze statuje.
- Niektóre z tych miasteczek wyglądały dość ubogo, Maurycy... – przypomniał z powątpiewaniem dzieciak.
- Czyli z całą pewnością nie potrzebują wojen.
- Groźna Fasolka mówi, że to... – Chłopak skoncentrował się i poruszył wargami, nim wypowiedział słowo na głos, jakby najpierw chciał przećwiczyć wymowę. – To nie-etyk-cznie.
- To prawda, Maurycy – wtrącił piskliwy głosik. – Groźna Fasolka uważa, że nie powinniśmy żyć z oszustw.
- Posłuchaj, Brzoskwino: ludziom głównie na oszustwach zależy – odparł głos Maurycyego. – Przez cały czas tak się starają, żeby się nawzajem oszukiwać, aż wybierają sobie rządy, żeby to za nich robiły. A my dajemy im to, za co płacą. Mają straszliwą plagę szczurów, płacą szczurzemu grajkowi, szczury wychodzą za dzieciakiem z miasta, hop-siup, koniec plagi, nikt więcej nie siusia do mąki, wdzięczni mieszkańcy wybierają rząd ponownie, wszyscy świętują. Moim zdaniem to dobrze wydane pieniądze.
- Ale plaga jest tylko dlatego, że ich do niej przekonujemy – zaprotestował głos Brzoskwini.
- No cóż, moja droga, kolejna rzecz, na którą wszystkie te małe rządy wydają swoje pieniądze, to szczurobójcy. Prawda? I naprawdę nie rozumiem, czemu w ogóle się z wami męczę, słowo daję.
- Tak, ale my...
- Nagle zdali sobie sprawę, że dylizans się zatrzymał. W deszczu na zewnątrz zadźwięczała uprząż. Potem dylizans zakotywał się lekko i usłyszeli tupot biegnących stóp.
- Po chwili usłyszeli głos z ciemności:
- Jadą tam jacyś magowie?
- Pasażerowie spojrzeli po sobie zdziwieni.
- Nie – odpowiedział chłopak takim rodzajem „nie”, które oznacza „a czemu pytasz?”.
- A jak z czarownicami? – dopytywał się głos.

- Nie, żadnych czarownic – zapewnił chłopak.
- Dobrze. A może są tam jakieś ciężko uzbrojone trolle wynajęte przez linię dylizansową?
- Wątpię – stwierdził Maurycy.
- Przez chwilę trwała cisza zakłócana szumem padającego deszczu.
- No dobra... A wilkołaki? – odezwał się znowu głos.
- A jak wyglądają? – zapytał chłopak.
- No, niby wyglądają tak całkiem normalnie, aż do chwili kiedy im wszędzie wyrastają włosy, zęby, wielkie łapy i wtedy skaczą na człowieka przez okno – wyjaśnił głos. Brzmiał tak, jakby mówiący czytał listę.
- Wszyscy mamy włosy i zęby – zapewnił chłopak.
- Czyli jesteście wilkołakami?
- Nie.
- Świetnie, świetnie. – Znowu chwila milczenia wypełniona szumem padającego deszczu. – A tak, wampiry – rzekł głos. – Mokra jest, na pewno byście nie chcieli latać przy takiej pogodzie. Są tam jakieś wampiry?
- Nie – oświadczył chłopak. – Wszyscy tu jesteśmy zupełnie niegroźni.
- O rany... – mruknął Maurycy i wczółgał się pod siedzenie.
- No, prawdziwie mi ulżyło – stwierdził głos. – W tych czasach nigdy dość ostrożności. Różne typy się tutaj kręcą. – Przez okienko wsunęła się kusza, a głos mówił dalej: – Pieniądze i życie. Specjalna promocja, dwa w jednym.
- Pieniądze są w skrzynce na dachu – poinformował głos Maurycego z poziomu podłogi.
- Rozbójnik rozejrzył się po ciemnym wnętrzu powozu.
- Kto to powiedział? – zapytał.
- No... ja – odparł chłopak.
- Nie zauważyłem, żebyś ruszał ustami, mały!
- Pieniądze są na dachu. W kufrze. Ale na pana miejscu bym nie...
- Ha! Tak właśnie przypuszczałem, że ty byś nie!
- Twarz rozbójnika zniknęła z okienka.
- Chłopiec sięgnął po leżącą obok piszczałkę. Takie instrumenty nazywano fletami prostymi, choć gra na nich wcale nie była prosta.



– Zagraj „Kradzież z rozbojem”, mały – polecił spokojnie Maurycy.

– Nie możemy po prostu dać mu pieniędzy? – zapytał głos Brzaskwini. Był to cichy głosik.

– Pieniądze są po to, żeby ludzie dawali je nam – upomniał ją surowo Maurycy.

Nad sobą usłyszeli zgrzyt kufra na dachu, kiedy rozbójnik ściągał go na dół.

Chłopak posłusznie podniósł flet do ust i zagrał kilka nut. Po czym nastąpiła seria odgłosów: skrzypienie, jakby szamotanie i bardzo krótki krzyk.

Kiedy zapadła cisza, Maurycy wspiął się na siedzenie i przez okno wystawił głowę na ciemną deszczową noc.

– Dobrze kombinujesz – pochwalił. – Rozsądnie. Im bardziej się szarpiesz, tym mocniej gryzą. Prawdopodobnie jeszcze nie naruszyły skóry, co? To dobrze. Podejdź bliżej, żebym mógł ci się przyrzczyć. Ale powoli, jasne? Nie chcemy przecież, żeby ktoś tu wpadł w panikę, prawda?

Rozbójnik znowu pojawił się w świetle lamp dylizansu. Szedł bardzo powoli i ostrożnie, szeroko rozstawiając nogi. I cichutko pojękiwał.

– Aha, tu jesteś – stwierdził z satysfakcją Maurycy. – Wbiegły prosto do nogawek, co? Typowy numer szcurów. Kiwnij tylko głową, nie chcemy ich denerwować. Trudno przewidzieć, do czego mogłoby to doprowadzić.

Rozbójnik wolno pokiwał głową. I nagle zmrużył oczy.

– Jesteś kotem? – wymruczał.

Po czym zrobił zeza i syknął.

– Pozwoliłem ci mówić? – spytał Maurycy. – Nie wydaje mi się, żebym ci pozwalał mówić, prawda? Woźnica uciekł czy go zabiłeś? – Twarz mężczyzny nie wyrażała niczego. – Aha, szybko się uczymy... To lubię u rozbójników – pochwalił go Maurycy. – Możesz odpowiedzieć na pytanie.

– Uciekł – poinformował chrapliwie rozbójnik.

Maurycy znowu się schował w powozie.

– Co myślicie? – zapytał. – Powóz, cztery konie, pewnie trochę cennych rzeczy w workach pocztowych... Razem warte, no... jakies tysiacy dolarów. Dzieciak mógłby powozić. Warto brać?

- To kradzież, Maurycy – stwierdziła Brzoskwinia. Siedziała na ławeczce obok chłopaka. Była szczurem.
- Nie jest kradzieżą jako taką – sprzeciwił się Maurycy. – To raczej... znalezienie. Woźnica uciekł, więc nawet ratowanie mienia. Hej, to prawda, moglibyśmy go zwrócić i dostać nagrodę! To o wiele lepsze. I legalne. Robimy tak?
- Ludzie zadawaliby dużo pytań – zauważyła Brzoskwinia.
- Jeśli go zwyczajnie zostawimy, to ktoś *mrrrau* go ukradnie – jęknął Maurycy. – Jakiś złodziej go sobie zabierze! Lepiej jeśli my zabierzemy, prawda? My nie jesteśmy złodziejami.
- Zostawimy go, Maurycy – upierała się Brzoskwinia.
- W takim razie ukradnijmy chociaż konia tego rozbójnika – przekonywał Maurycy, jakby noc nie była właściwie dopełniona, dopóki czegoś nie ukradli. – Okraść złodzieja to nie kradzież, bo one się kasują.
- Nie możemy tu tkwić całą noc – zwrócił się chłopak do Brzoskwini. – Ma trochę racji.
- Zgadza się – potwierdził nerwowo rozbójnik. – Nie możecie tu tkwić całą noc.
- Zgadza się – zabrzmiał chór głosów z jego spodni. – Nie możemy tu tkwić całą noc!
- Maurycy westchnął i znowu wystawił głowę przez okno.
- No dobra – rzekł. – Zrobimy tak. Będziesz stał całkiem nieruchomo i patrzył prosto przed siebie. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo gdybyś próbował, wystarczy mi powiedzieć jedno słowo...
- Nie mów tego słowa – poprosił rozbójnik jeszcze bardziej nerwowo.
- Właśnie – powiedział Maurycy. – Zabierzemy ci za karę twojego konia, ale możesz sobie zabrać dylizans, bo to będzie kradzież, a tylko złodziejom wolno kraść. Zgoda?
- Wszystko, co powiesz – zapewnił rozbójnik, zastanowił się chwilę i dodał szybko: – Ale proszę cię, nic nie mów!
- Patrzył prosto przed siebie. Zobaczył, jak chłopiec i kot wysiadają z powozu. Słyszał za sobą różne odgłosy, kiedy odprowadzali jego konia. A potem pomyślał o swoim mieczu. Owszem, miał z tej transakcji dostać cały dylizans pocztowy, ale przecież istnieje coś takiego jak duma zawodowa.
- No dobrze – zabrzmiał po chwili głos kota. – Teraz stąd znik-



niemy, a ty musisz obiecać, że nie ruszysz się, dopóki nie odjedziemy. Obiecujesz?

– Daję wam moje słowo jako złodziej – oświadczył rozbójnik, powoli kładąc dłoń na mieczu.

– Jasne. Z pewnością ci ufamy – odparł kot.

Mężczyzna poczuł, jak jego spodnie stają się lekkie, kiedy wysypały się z nich szczury; usłyszał brzęk uprzęży. Odczekał trochę, po czym odwrócił się i pobiegł naprzód.

W każdym razie trochę naprzód. Nie uderzyłby tak mocno o ziemię, gdyby ktoś nie związał mu razem sznurówek.

* * *

Mówili, że jest zadziwiający. Zadziwiający Maurycy, tak go nazywali. Nigdy nie zamierzał być zadziwiający. Po prostu tak wyszło.

Zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, kiedy pewnego dnia po obiedzie spojrzął na swoje odbicie w kałuży i pomyślał: To ja. Nigdy wcześniej nie był siebie świadomy. Oczywiście, trudno teraz było sobie przypomnieć, jak myślał, zanim stał się zadziwiający. Miał wrażenie, że jego umysł był wtedy rodzajem zupy.

Były jeszcze szczury, które żyły pod kupą śmieci w rogu jego terytorium. Zrozumiał, że jest w nich coś wyedukowanego, kiedy skoczył na kogoś, a ten szczur powiedział: „Może o tym porozmawiamy?”. Wtedy część jego zadziwiającego nowego mózgu zasugerowała, że nie należy jeść nikogo, kto potrafi mówić. A przynajmniej dopóki się nie wysłucha, co ma do powiedzenia.

Szczurem okazała się Brzoskwinia. Nie przypominała innych szczurów. Podobnie jak Groźna Fasolka, Pączkojad, Ciemnybrąz, Mielonka, Wielka Okazja, Trując i cała reszta. Ale przecież Maurycy też już nie przypominał innych kotów.

Inne koty wydawały się nagle... głupie. Dlatego Maurycy zaczął się raczej trzymać szczurów. Przynajmniej miał z kim porozmawiać. Dogadywali się całkiem dobrze, dopóki pamiętał, żeby nie zjadać nikogo znajomego.

Szczury często się zastanawiały, w jaki sposób nagle stały się takie mądre. Maurycy uważał to za stratę czasu. Różne rzeczy się zdarzają... Ale szczury ciągle kombinowały i kombinowały: może to coś, co zjadły z tego stosu śmieci? Lecz nawet Maurycy rozumiał,

że nie tłumaczyłoby to, w jaki sposób on się zmienił. Przecież nie jadał odpadków. A już na pewno nie jadał konkretnie tych śmieci, bo wiedział, skąd pochodzą.

Uważał, że szczury są – tak naprawdę – głupie. Inteligentne, owszem, ale głupie. Maurycy żył na ulicach przez cztery lata, niewiele już zostało mu z uszu, a blizny pokrywały cały pyszczek – i był sprytny. Kroczył dumnie, kołysząc biodrami tak mocno, że gdyby nie zwolnił, przewróciłby się od tego. Kiedy nastroszył ogon, ludzie musieli obchodzić go bokiem. Uważał, że trzeba być sprytnym, żeby przetrwać cztery lata na ulicach, zwłaszcza wobec tych wszystkich psich gangów i przedsiębiorczych kuśnierzy. Wystarczyłby jeden błędny ruch, a skończyłby jako obiad i para rękawiczek.

Tak, trzeba być sprytnym.

Warto też być bogatym. Trochę się namęczył, żeby wytłumaczyć to szczurom, ale w końcu od dawna włóczył się po mieście i odkrył, jak wszystko działa. Pieniądże, przekonywał, są kluczem.

I wtedy, pewnego dnia, zauważył głupawego z wyglądu dzieciaka, który grał na piszczałce, a przed sobą położył czapkę na drobne... i wpadł na pewien pomysł. Zdziwiający pomysł! Pojawił się znienacka, bęc, od razu w całości. Szczury, flet, głupawy z wyglądu dzieciak...

– Hej, ty, głupawy z wyglądu dzieciaku – odezwał się do niego Maurycy. – Chciałbyś może zbić forr-tunę? Tu jestem, na dole...

* * *

Świtało już, kiedy koń rozbójnika wyjechał z lasu nad przełęczą. Zatrzymali go w wygodnym zagajniku.

Dolina rzeki ciągnęła się pod nimi, z miasteczkiem przyklejonym do urwiska.

Maurycy wygramolił się z juków i przeciągnął. Głupawy z wyglądu dzieciak pomógł szczurom wyjść z drugiej torby. Przez całą drogę leżały na pieniądzech, choć były zbyt grzeczne, by powiedzieć, że nikt nie chce spać w tej samej torbie co kot.

– Jak się nazywa to miasteczko, mały? – zapytał Maurycy.

Usiadł na kamieniu i spojrział na zabudowania. Z tyłu szczury znowu liczyły pieniądze, układając je w stosikach przy skórzanej sakwie. Robiły to codziennie. Maurycy wprawdzie nie miał kiesz-



ni, ale miał w sobie coś, co wywoływało odruch możliwie częstego sprawdzania gotówki.

– Blintzowe Łaźnie – odparł chłopak, zaglądając do przewodnika.

– Ehm... Powinniśmy je odwiedzać? Łaźnie źle się kojarzą... Krwawa łaźnia i takie tam... – zaniepokoiła się Brzoskwinia, przerywając liczenie.

– Ale nie nazywa się „Łaźnie” dlatego, że urządzają krwawe łaźnie. Nasłuchałaś się jakichś głupstw – wyjaśnił Maurycy.

– To dlaczego nazwali miasto „Łaźnie”? – zdziwił się Pączkoad.

– Nie, nie, nazwali je „Łaźnie”, bo... – Zadziwiający Maurycy wahał się tylko przez moment. – ...Bo mają tam łaźnię, rozumiesz. To bardzo zacofana okolica. Niewiele jest tu łaźni. Ale oni mają i są z niej dumni, więc oczywiście chcieliby, żeby wszyscy wiedzieli. Pewnie trzeba kupować bilety, żeby na nią popatrzeć.

– Czy to prawda, Maurycy? – zapytał Groźna Fasolka. Zadał pytanie bardzo uprzejmie, ale było jasne, że tak naprawdę chciał powiedzieć: „Nie sądzę, żeby to było prawda, Maurycy”.

No tak... Groźna Fasolka był trudnym przypadkiem. Choć właściwie nie powinien. Za dawnych czasów Maurycy nawet by nie zjadł szczura tak małego, bladego i ogólnie chorowitego.

Patrzył z góry na małego albinosa z jego śnieżnobiałym futerkiem i czerwonymi oczkami. Groźna Fasolka oczywiście nie odpowiedział mu spojrzeniem, bo był zbyt krótkowzroczny. Jasne, ta prawie ślepotą nie przeszkadzała zbytnio osobnikowi z gatunku, który większość czasu spędza w ciemności, a węch ma – o ile Maurycy to rozumiał – prawie tak dobry jak wzrok, słuch i mowa razem wzięte. Na przykład szczur zawsze odwracał się do Maurycyego przodem i kiedy mówił, patrzył prosto na niego. To było niesamowite. Maurycy znał kiedyś ślepego kota, który często zderzał się z drzwiami, ale Groźnej Fasolce nigdy się to nie zdarzało.

Groźna Fasolka nie był naczelnym szczurem – to stanowisko należało do Mielonki. Mielonka był duży, waleczny i trochę poharatany; nie bardzo mu się podobał ten nowo uzyskany mózg, a już na pewno mu się nie podobało, że musi rozmawiać z kotem. Był już dość stary, kiedy nastąpiła Odmiana, jak szczury to nazywały, i uważał, że jest już za stary na zmiany. Rozmowy z Maurycym zostawiał

Groźnej Fasolce, który urodził się zaraz po Odmianie. A ten mały szczurek był mądry. Zadziwiająco mądry. Za mądry. W kontaktach z Groźną Fasolką Maurycy potrzebował całego swojego sprytu.

– Zadziwiające, o ilu rzeczach wiem... – Maurycy zamrugał powoli. – Zresztą to chyba miłe miasteczko. Wygląda na bogate. Zrobimy więc tak...

– Ehem...

Maurycy nienawidził tego odgłosu. Jeśli istniał dźwięk gorszy od Groźnej Fasolki zadającego jedno z tych swoich dziwnych pytań, to było nim chrząknięcie Brzoskwini. Oznaczało, że Brzoskwinia zamierza bardzo cicho powiedzieć coś, co na pewno go zdenerwuje.

– Tak? – spytał ostro.

– Czy naprawdę musimy dalej to robić?

– To oczywiste, że nie – odparł Maurycy. – W ogóle nie muszę tu siedzieć, jestem przecież kotem. Zgadza się? Kotem z moimi talentami! Ha! Mógłbym załatwić sobie naprawdę niezłą robotę jako iluzjonista. Albo może brzuchomówca. Nie ma końca rzeczom, którymi mógłbym się zajmować, bo przecież ludzie lubią koty. Ale ze względu na to, że jestem... no wiecie... zadziwiająco głupi i mam zadziwiająco miękkie serce, postanowiłem trochę pomóc bandzie gryzoni, które... powiedzmy sobie to szczerze... nie są wśród ludzi faworytem numer jeden. I teraz niektórzy z was... – obrzucił Groźną Fasolkę ponurym spojrzeniem żółtego oka – ...mają taki pomysł, żeby popłynąć gdzieś na jakąś wyspę i założyć tam własną cywilizację. Uważam, że to godne podziwu, lecz potrzebne wam będą... Tłumaczyłem wam więc, co będzie potrzebne?

– Pieniądze, Maurycy – odparł Groźna Fasolka. – Ale...

– Pieniądze. Zgadza się. Bo co możecie dostać za pieniądze? – Popatrzył na szczury. – Zaczyna się na Ł – odpowiedział.

– Łodzie, Maurycy, ale...

– A w dodatku wszystkie narzędzia, jakich będziecie potrzebować, no i oczywiście jedzenie...

– Są kokosy – zauważył głupawy z wyglądu dzieciak, polerując swój flet.

– Och, czyżby ktoś tu coś powiedział? – zdziwił się Maurycy. – A co ty o tym wiesz, mały?

– No, ma się tam kokosy – wyjaśnił dzieciak. – Na bezludnych wyspach. Mówił mi ten człowiek, co nimi handluje.

